

Milatyński przeszczep

Przed 35 laty, po sukcesie wydawniczym moich książek „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie” i „Cmentarz Obrońców Lwowa” (Ossolinem 1988-1990), które ukazały się w nakładzie ponad 250 tysięcy egzemplarzy, otrzymałem z Maisons-Laffitte list Jerzego Giedroycia z zaszczytną dla mnie propozycją



Stanisław S. Nicieja

Twórca paryskiej „Kultury” napisał do mnie: „Jest Pan dobrze zorientowany w problemie wielkiego sporu Polaków i Ukraińców przypisujących sobie wzajemnie wyłączne prawa do Lwowa. Czy mógłby Pan napisać dla mnie artykuł o tym, co się stało w 1945 roku z »polskim Lwowem«, tak mocno przez prawie sześć wieków wpisanym w historię Polski”.

Propozycja Jerzego Giedroycia stała się dla mnie wielką inspiracją i właściwie legła u podstaw „Kresowej Atlantydy” – tej serii wydawniczej o miejscowościach kresowych, której dwudziesty pierwszy tom czytelnik trzyma w ręku. Przyjmując propozycję, napisałem artykuł o dość katastroficznym czy też pogrzebowo-futurystycznym tytule: „Pośmiertne życie polskiego Lwowa”.

W pierwszych zdaniach tego artykułu stwierdziłem: „Wyrok polityków w Jałcie, potwierdzony w Poczdamie, był jednoznaczny – Polska miała kończyć się na Bugu w jego środkowym i górnym biegu z małą korektą na jej niekorzyść, bo przecież Lwów za Bugiem nie leży. Tu lord George Curzon, zaliczany w poczet sprawców polskich nieszczęść, nie miał nic do powiedzenia. Polscy obywatele Lwowa – miasta stanowiącego od czasów Kazimierza Wielkiego ważny ośrodek kultury polskiej, a na przełomie XIX i XX wieku duchowej i intelektualnej stolicy Polski – mieli być ewakuowani na zachód. I decyzję tę wykonano. Pozwolono im nawet zabrać niektóre ważne instytucje, jak Ossolineum, Panoramę Racławicką oraz mniejsze bądź większe artefakty kulturowe”.

Obecnie, po tylu latach, nie zmieniłbym w tym eseju ani jednego zdania, więcej – z biegiem czasu udało mi się bardzo mocno poszerzyć faktografię.



Ewangelicki kościół w Pępicach, który po wojnie stał się katolicką świątynią dla przesiedleńców z Milatyna.

Po zebraniu tysięcy relacji, fotografii i dokumentów rodzinnych oraz po penetracji archiwów i bibliotek mogłem opisać ponad 90 miejscowości z dawnych Kresów, które spotkał ten sam los, co Lwów. W poszczególnych tomach „Kresowej Atlantydy” koncentrowałem uwagę nie tylko na historii dużych miast, takich jak Lwów, Wilno, Stanisławów, Tarnopol czy Grodno, ale też na małych, a nawet wsiach, osadach czy przysiółkach.

W XXI tomie przedstawiam pośmiertne życie wsi Milatyn, która w mini skali podzieliła los metropolitalnego Lwowa. Milatynianie zostali wywiezieni, a właściwie przeszczepleni z ziemi lwowskiej na Dolny Śląsk, do wsi Pępice. Stanowili maleńką (ok. 200 osobową) grupę w tej gigantycznej wędrówce obejmującej miliony ludzi różnych narodowości: Niemców, Polaków, Węgrów, Ukraińców, Słowaków czy też Łemków, którzy niespodziewanie wpadli w tryby wielkiej historii i zostali w 1945 roku wygnani bądź musieli uciekać ze swych rodzinnych stron.

Casus przeszczepu podlwowskiej wsi Milatyn do Pępice znam z autopsji wyjątkowo dobrze, bo dawni milatynianie po przesiedleniu byli przez po-

nad trzydzieści lat, a ich potomkowie nadal są moimi sąsiadami. Mieszkając wśród nich, poznałem ich życzliwość, mentalność i codzienne problemy, świadomość historyczną, obyczajowość i kulturę duchową. Pisząc ich biografie, udało mi się stworzyć swoiste studium socjologiczne przesiedlonej maleńkiej kresowej społeczności, gdyż są tam wątki uniwersalne, charakterystyczne dla innych grup expatriantów.

Początek zagłady polskiego Milatyna, leżącego w połowie drogi między Lwowem a Przemyślem, zaczął się prozaicznie. U schyłku zimy 1945 roku na tę społeczność spadła niczym grom z jasnego nieba zatrważająca wieść, że Polacy, którzy nie zgodzą się przyjąć sowieckiego obywatelstwa, muszą bezwzględnie opuścić wieś i udać się za San, bo tam, w nowych granicach jest już ich państwo, a tu będzie Ukraińska Republika Socjalistyczna jako integralna część Związku Radzieckiego.

Wiadomość była paraliżująca, bo jak to, zostawić swoje gospodarstwa, pola, sady, kościół, cmentarz z grobami najbliższych, i iść na zachód, w nieznane, i to podobno jeszcze na ziemię germańskie – tych odwiecznych polskich wrogów?! Nie może być! Mówiono

o tym w emocjach w domu, podczas pracy w polu i zagrodzie, szeptano w karczmie i w drodze do kościoła. W końcu ustalono, że wszyscy zgromadzą się pod kościołem i zapytają księży, co robić. Po burzliwej dyskusji proboszcz oświadczył, że nie ma wyjścia – Polacy muszą wyjechać, tym bardziej, że jeśli Sowietom nie wymuszają wyjazdu, to banderowcy załatwią to po swojemu i ostatecznie.

W tej atmosferze niepewności, zagrożenia i rozpacz, ale też trudnego do pohamowania gniewu, postanowiono: wyjeżdżamy jednocześnie, wszyscy razem. Kobiety, starcy i dzieci pojadą pociągiem, razem z inwentarzem żywym (krowy, świnie, drób) oraz ze skromnym dobytkiem (kufry, szafki, pościel, ubrania itp.), natomiast mężczyźni pojedą swoimi wozami konnymi i oprócz obroku dla koni zabiorą ze sobą ziarno siewne i te narzędzia rolnicze, które nie zmieściły się w pociągu, m.in. pługi, brony czy żarna.

Wędrówka milatynian ruszyła z Rodatycz – najbliższej stacji kolejowej, gdzie pod dworzec, na którym w pociągu czekały na odjazd kobiety z dziećmi, podjechało dwadzieścia kilka obładowanych wozów konnych powożonych

przez mężczyzn, by jednocześnie udać się w nieznane. Kilkom bańkami samogonu zakupiono maszynistę parowozu, aby nie prowadził pociągu zbyt szybko, gdyż jadący konnymi zaprzęgami – milatynscy taborcy – chcieli jechać równolegle z pociągiem. Naiwnie sądzono, że w ten sposób odbędą całą drogę spod Lwowa na Śląsk.

Ten plan był skuteczny jednak tylko do nowej polskiej granicy na Sanie w Przemyślu, gdyż tam ich drogi musiały się rozdzielić, okazało się bowiem, że most kolejowy jest czynny, natomiast drogowy zerwany. Kobiety na kilka tygodni straciły kontakt z mężami, ponieważ kawalkada zaprzęgów konnych musiała pojechać w kierunku Rzeszowa i Tarnowa innym szlakiem – przez Chyrow i Ustrzyki. Szczegóły tej wędrówki i losy konkretnych osób z Milatyna przedstawię w przygotowywanym obecnie XXI tomie „Kresowej Atlantydy”.

Tu przywołam tylko historię jednego z moich pępickich sąsiadów, który przewodził grupie jadącej konnymi zaprzęgami z Milatyna do Pępice. Był nim Szczepan Durkacz (1914-1995) – syn Tekli z Moczulskich i Antoniego Durkaczów. Miał dwóch braci, z których najstarszy, Adam, zginął w czasie

wojny polsko-bolszewickiej pod Kijowem i tam został pochowany, a młodszy, Jan, zmarł w Koźlu. Szczepan Durkacz prowadził w Milatynie wspólnie z żoną – Zofią z Tarczyńskich gospodarstwo rolne

Szczepan Durkacz zapisał piękną kartę w czasie wojny z Niemcami. Był jako bombardier jednym z bohaterskich obrońców Warszawy we wrześniu 1939 roku. W piekle ciągłych bombardowań zdobył sobie uznanie jako ofiarny dowódca zwiadu, operujący na przedpolach stolicy. Jego przełożony, por. Zbigniew d’Latour, wystawił mu po upadku Warszawy świetne świadectwo za uratowanie w krańcowo ryzykownych warunkach kolegi zasypanego po wybuchu bomby. Odznaczono go też medalem za obronę stolicy. Te świadectwa jego bohaterstwa przechowywane są przez córkę – Franciszkę w Pępicach.

Szczepan Durkacz, wzięty do niewoli w Rembertowie we wrześniu 1939 roku, przeżył dramatyczne upokorzenie, kiedy musiał własną broń rzucić na stos, a później – trzymany w klasztorze św. Kazimierza widział, jak niektórzy oficerowie, nie mogąc pogodzić się z klęską, odbierali sobie życie. Zostało mu na trwałe w pamięci nawoływanie księdza z ambony: „Panowie, nie wolno tego czynić! Trzeba dla ojczyzny żyć!”. Udało mu się wspólnie z kilkoma kolegami uciec z niewoli i przepłynąć Wisłę. Na wschód do domu w Milatynie szli dwa tygodnie. Pięć lat później powtórzył wędrówkę, ale ze wschodu na zachód i tym razem koni, wioząc swój skromny dobytek.

W czasie, gdy jechał w szpicie taboru przesiedleńców, najbardziej utkwiała mu w pamięci stacja w Bytomiu, gdzie na torowiskach, w wagonach i na peronach koczowało tysiące ludzi: zmęczonych, zmarzniętych, brudnych, głodnych, zrozpaczonych. Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) nie mógł sobie poradzić ze sprawnym rozmieszczaniem przesiedleńców i wygnańców ze wschodu.

Stefania Janczurowa, która z dwójką drobnych dzieci jechała z Milatyna transportem kolejowym, wspominała również dworzec w Bytomiu. „Tam – czytamy w jej relacji – przeła-



Horst Dierschke – syn wysiedlonych z Pępca do Saksonii niemieckich bauerów; na posesji przed dworkiem „Niciejówka”.

dowano nas do otwartych wagonów, a w tym czasie zaczął padać potworny deszcz, i to przez kilka dni. Przemoczeni, zziębnięci, bez parasoli, o których nikt nie słyszał, bez odpowiednich płaszczy, ogrzewaliśmy się przy wychudzonych, porykujących z głodu krowach. Ja miałam dwoje drobnych dzieci, ale moja sąsiadka miała siedmioro, a Stefani Kotarbowej przyszło urodzić dziecko – dosłownie na betonie peronu dworcowego. Jechaliśmy jak Cyganie. Pamiętam dzieci gromadami śpiące na workach, ciągle płaczące. To była jedna wielka bieda i rozpacz”.

W Bytomiu transport stał kilkanaście dni, a później zatrzymał się w Kędzierzynie. Szymon Winiarz (1930-2006), późniejszy twórca Schroniska dla Bezdomnych im. Brata Alberta w Pępicach, który miał wówczas 15 lat i jechał ze swoją siostrą – Janiną (1937-2019), wspominał, że w Kędzierzynie ludzie zaczęli się buntować. Całymi dniami siąpił deszcz. Chodzono po okolicznych wsiach, ale nikt nie mógł się zdecydować na osiedlenie. Wszystko wydawało się obce. We wsiach byli jeszcze niemieccy bauerzy. Niektórzy więc chcieli wracać z powrotem do Milatyna, głosząc, że „niech się dzieje, co chce, byle do domu”. Inni domagali się jazdy jak najdalej na zachód. Trwała walka – jedni odczepiali, a drudzy doczepiali wagony. W końcu milatynianie postanowili osiąść w podkowiejskiej wsi Poborszów. Tam też dotarł tabor konny ze Szczepanem Durkaczem i Antonim Winiarzem na czele.

W XXI tomie na podstawie relacji zbieranych przez lata w Pępicach, odtworzę losy Durkaczów, Winiarzów, Lechowiczów, Janczurów, Łucyszynów, Felsztyńskich, Kubickich i Bucyków oraz zilustruję fotografiami tych rodzin.

Na pewien czas przerywam cykl tych kresowych artykułów, aby skoncentrować się na redakcji przyszłej książki. Pragnę natomiast w tym miejscu podkreślić, jak wielką dla mnie wagę miała możliwość opublikowania tych tekstów w NTO. Dzięki temu nawiązałem setki kontaktów z czytelnikami, którzy mają korzenie kresowe i od nich uzyskiwałem unikatowy materiał, który nigdy nie trafiłby do publikacji, gdyby nie udostępniono mi domowych archiwów. Po artykułach w NTO otrzymywałem listy, które uzupełniały treści publikowanych historii rodzinnych oraz eliminowały błędy, które się zdarzały, gdyż nie zawsze opierałem się na pewnych źródłach.

Oto dla przykładu: w artykule przed tygodniem wspominałem krótko o Stanisławie Melskim – znanym aktorze teatralnym i filmowym mieszkającym we Wrocławiu i dostałem uzupełnienie historii jego rodziny. Otóż dziadek Stanisława Melskiego – Jan Melski (1870-

1919), urodzony w Wołczuchach pod Gródkiem Jagiellońskim, jako żołnierz walczył w wojnie polsko-ukraińskiej o Lwów i Galicję Wschodnią. Po jednej z bitew został internowany i osadzony w Kosaczowie na przedmieściu Kołomyi. Obóz ten zapisał się w historii polskiej martyrologii, gdyż w straszliwych warunkach przetrzymywano tam wielu polskich nauczycieli, inżynierów, prawników i działaczy politycznych. Głód i nieogrzewane baraki oraz epidemia tyfusu spowodowały, iż zmarło tam ponad 1000 jeńców. Do dziś na cmentarzu w Kołomyi zachował się pomnik informujący o tej tragedii. Wśród zmarłych na tyfus był też Jan Melski.

Rodzicami Stanisława Melskiego byli Eugenia z Głowackich (1925-2005) i Adam (1912-1989) Melscy – właściciele gospodarstwa rolnego w Wołczuchach. Adama Melskiego w 1941 roku Niemcy wywieźli na roboty przymusowe do bawera w Sudetach. Po wyzwole-



W redakcji paryskiej „Kultury”, od lewej: prof. Henryk Ratajczak (rektor Uniwersytetu Wrocławskiego), Zofia Hertz, Jerzy Giedroyc i autor artykułu.

niu trafił do Większyc koło Koźła, gdzie spotkał się po latach z rodziną przybyłą tam transportem z Gródka Jagiellońskiego. Ostatecznie osiedli w Pyskowicach nieopodal Złotori, obejmując poniemieckie gospodarstwo rolne (8,5 ha i zabudowania). W 1953 roku Adam za odmowę wstąpienia do Spółdzielni Produkcyjnej (kołchozu) trafił do więzienia we Wrocławiu, a później do pracy w kamieniołomach w Strzegomiu. Jedno z jego pięciorga dzieci – Stanisław Melski ukończył Technikum Hutnicze w Legnicy, a następnie podjął studia aktorskie we Wrocławiu. W 1980 roku został aktorem wrocławskiego Teatru Polskiego. Na tej scenie występował w wielu rolach, nie tylko jako aktor, ale jako reżyser, m.in. sztuk Mrożka, Witkacego i Dostojewskiego.

Z tej samej wsi, co rodzina Melskich – Wołczuchy pod Gródkiem Jagiellońskim wywodzą się przodkowie Łukasza Wylęgały (rocznik 1882)

– informatyka, obecnie mieszkająca Nysy, pasjonata historii ziemi lwowskiej, zbieracz wszelkich artefaktów na ten temat i strażnika pamięci o ludziach z okolic Gródka Jagiellońskiego, o którym wspominałem przed tygodniem. Obecnie mogę poszerzyć informację o jego rodzinie.

Pasję dokumentowania kresowej historii rodzinnej rozbudziła w nim jego babka – Maria Kaliciak-Wylęgała (1924-2011), pochodząca z rodziny mieszańskiej polsko-ukraińskiej. Jej ojciec – Antoni Kaliciak (zm. 1930) zakupił w Wołczuchach pięć mórg ziemi z parcelowanego majątku hrabiego Kazimierza Jabłonowskiego i siedmioosobowa rodzina żyła z pracy na roli. W lutym 1940 roku rodzina Kaliciaków wraz z 19 innymi polskimi rodzinami z Wołczuchów (w sumie 108 osób) została wywieziona na Sybir, we wsi pozostały tylko ukraińskie rodziny.

Z Sybiru Kaliciakowie wydostali się dopiero po wojnie i trafili do Większyc pod Kędzierzynie, a później do Prudnika, gdzie Maria Kaliciak w 1950 roku wyszła za mąż za Stefana Wylęgałę – kolejarza z Mysłowic. Historię swego życia opowiadała wnukowi – Łukaszowi Wylęgałemu, który opublikował je w 2010 roku w roczniku „Ziemia Prudnicka”. W artykule tym zawarł wręcz socjologiczny opis środowiska, w którym upłynęła młodość jego babki, a następnie pokazał losy tułaczki z Sybiru na Śląsk.

Najstarszy brat Marii – Władysław Kaliciak (1920-1943) został zmobilizowany do armii gen. Zygmunta Berlinga i zginął 12 października 1943 roku w bitwie pod Lenino.

Rodzina Klubowiczów

Dzięki Łukaszowi Wylęgałemu otrzymałem bardzo ciekawe materiały biograficzne o rodzinie znanej polskiej aktorki te-

atralnej i filmowej oraz poetki i tłumaczki z języka niemieckiego – Marty Klubowicz, grającej w wielu filmach, m.in. w „Och Karol”, „Tulipan” czy „Pogranicze w ogniu”. Jej dziadek – Jan Klubowicz (1901-zm. w Otmuchowie) był zawiadowcą stacji w Gródku Jagiellońskim. 3 września 1939 roku podczas bombardowania miasta przez niemieckie Luftwaffe spłonął jego dom stojący obok dworca. Po wojnie z żoną – Karoliną z domu Buczek (którą poznał w Brodach, gdy służył w tamtejszym garnizonie dowodzonego przez gen. Władysława Andersa) i trójgiem dzieci – Adelajdą, Kazimirą (1928-2022) oraz Marianem (1940-2023), ojcem Marty – osiedlił po wojnie w kotlinie kłodzkiej (w Bardzie), a następnie w Otmuchowie, gdzie Jan Klubowicz kontynuował swą pracę jako kolejarz. Przyuczył też do tego zawodu swego jedyne go syna – Mariana. Za działalność w podziemnej organizacji Wolność i Niepodległość Jan Klubowicz trafił do stalinowskiego więzienia. Jak wspominała jego córka – Kazimiera (po wojnie asystentka stomatologiczna w Oławie) – „jednym z dowodów przeciwko ojcu, że jest wrogo nastawiony do władzy ludowej, było zdjęcie, na którym ona, jako mała dziewczynka, była trzymana na rękach przez gen. Andersa. Zdjęcie to zabrano rodzinie i nigdy go nie odzyskała”.

Marta Klubowicz ukończyła słynne nyskie liceum Carolinum. Jej ojciec, Marian Klubowicz, również był kolejarzem i pracował na kolei w Otmuchowie i Nysie. Wspólnie ze swoimi siostrami spoczywa na cmentarzu w Kopernikach pod Nysą.

Oto krótka historia jednej z ważnych powojennych śląskich rodzin, którą szerzej przedstawię w XXI tomie „Kresowej Atlantydzie”.

©



Paryż 1999, po uroczystości nadania doktoratu honoris causa Jerzemu Giedroycowi, od lewej: prof. Jacek Majchrowski (recenzent, późniejszy długoletni prezydent Krakowa), prof. Adam Jamróż (rektor Uniwersytetu w Białymstoku), Jerzy Giedroyc (redaktor „Kultury”) i prof. Stanisław Nicieja (recenzent w przewodzie doktorskim).